

## Nie twórzmy „marcowych profesorów”

Należy podziwiać tempo, w jakim zespół pod kierunkiem prof. Jerzego Woźnickiego przygotowuje kolejne wersje ustawy *Prawo o szkolnictwie wyższym*. Włożono w nią już bardzo wiele pracy, jest wszakże rzeczą jasną, iż ostateczna wersja tej ustawy winna uwzględnić wyniki dyskusji prowadzonych w różnych środowiskach akademickich. Ta zaś jest dość daleka od ukończenia i obfituje w wiele akcentów krytycznych. Wierzmy, że chęć nadania *Prawu o szkolnictwie wyższym* możliwie doskonałego kształtu weźmie górę nad pragnieniem uchwalenia go w możliwie szybkim czasie i uwagi sformułowane przez nas w imieniu Prezydium Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów, które dotrą do rąk Czytelników z końcem marca 2004 roku, będą mogły być uwzględnione. Nie ustosunkowujemy się do całości ustawy, a tylko do tych zapisów, które dotyczą kryteriów awansowania kadr akademickich, a więc zagadnień leżących w obszarze ustawowych zadań Centralnej Komisji.

Jakrozumiemy, w intencjach twórców prawo o szkolnictwie wyższym ma zapewnić polskim uczelniom i uczynom konkurencyjność w ramach Unii Europejskiej. Służyć ma temu stałe podnoszenie kwalifikacji zawodowych pracowników i ich mobilność. Uznając powyższe tezy za słuszne, nie można jednak nie stwierdzić, że w projekcie ustawy pojawiają się zapisy, które nie służą ich realizacji, a wręcz przeciwnie są z nimi sprzeczne.

Przedstawiciele Centralnej Komisji dość późno zostali poproszeni o wypowiedź na temat tej ustawy. Od samego początku stanęli zdecydowanie i konsekwentnie na stanowisku, iż jedyną drogą awansu akademickiego uprawniającą do zajmowania stanowiska profesora winna być obowiązująca dotychczas w Polsce habilitacja. Twórcy nowej ustawy przeciwstawili jej pogląd, iż na stanowisko profesora nadzwyczajnego bądź kontraktowego może być zaangażowana osoba ze stopniem doktora, jeśli dana uczelnia uzna jej dorobek za wybitne osiągnięcia naukowe. Dotąd traktowano taką możliwość jako wyjątkową i wymagającą każdorazowo uzyskania pozytywnej opinii Centralnej Komisji. Nie zdradzimy chyba zbyt wielkiej tajemnicy, jeśli powiemy, iż rozważana była propozycja utrzymania dotychczasowego wymogu. W kolejnej wersji ustawy zmieniono ten zapis na opinię w ogóle (a więc nie wiążącą w najmniejszym stopniu rąk władzom uczelni).

Obniżenie wymagań stawianych pracownikom nauki przy ich awansie będzie skutkowało obniżeniem ich kwalifikacji, a tym samym zdolności do konkurowania w europejskim obszarze nauki i edukacji. Pozostawienie go całkowicie w gestii uczelni utrwali system kariery naukowej wyłącznie w macierzystej jednostce, skutecznie blokując przepływ kadry między polskimi czy też europejskimi uczelniami. Wbrew deklarowanym intencjom autorów projektu ustawy, wprowadzone zmiany

<sup>1</sup> Prof. dr hab. Osman Achmatowicz, Sekretarz Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów, Instytut Farmaceutyczny, Warszawa

<sup>2</sup> Prof. dr hab. Janusz Tazbir, członek rzeczywisty PAN, Przewodniczący Centralnej Komisji do Spraw Stopni i Tytułów, Instytut Historii PAN, Warszawa

sprzyjają petryfikacji tych niekorzystnych dla naszego szkolnictwa wyższego zjawisk.

W niesławnym roku 1968 władze Polski Ludowej, chcąc wyprodukować kadre oddanych sobie „naukowców”, zniosły w pewnych przypadkach obowiązki habilitacji. W ten sposób wyprodukowano całą masę tzw. „marcowych docentów”, którzy wybili się raczej na polu działalności politycznej niż w nauce.

Obecnie wysuwany jest projekt analogicznej produkcji kwietniowych, majowych, czerwcowych itd. (nazwa miesiąca zależy od czasu, w którym ustawa zostałaby przez Sejm uchwalona) profesorów. Wiktor Hugo kiedyś napisał, iż „upiór przeszłości chętnie fałszuje sobie paszport”. W roku 1968 zapewniano osobom pewnym i wybranym awans naukowy bez habilitacji pod hasłem walki z rewizjonizmem i syjonizmem. Obecnie szermuje się sztandarem Unii Europejskiej, która nie uznaje podobno tak przestarzałych instytucji, jak kolokwium, praca dyplomowa i wykład. Najchętniej zaś i najczęściej sięga się po wzorce amerykańskie (w Ameryce doktorzy są profesorami!), zapominając, iż w Stanach Zjednoczonych, aby dostać stanowisko profesora na uniwersytecie, trzeba, po pierwsze, przejść przez ostre wymogi konkursowe, a po drugie, zmieścić się w granicach tak zwanej etatyzacji, przewidującej, iż w danej katedrze może być zatrudniona jedynie określona liczba profesorów. Sposób oceny kwalifikacji kandydata i stawiane wymagania przy zatrudnieniu na stanowisko profesora w Stanach Zjednoczonych są może wyższe, ale bardzo podobne do wymagań stawianych kandydatom do stopnia doktora habilitowanego w Polsce. Jest jedna zasadnicza różnica. W Stanach Zjednoczonych kandydat może uzyskać bardzo wysokie oceny, ale nie zostać przyjęty do pracy (w konkursie był ktoś lepszy) i następnym razem musi zacząć całą procedurę od nowa, podczas gdy

w Polsce uzyskałby stopień doktora habilitowanego i z wynikających uprawnień akademickich może korzystać w dalszej karierze bez ograniczeń. Dodajmy, że w modelu amerykańskim chodzi o najniższy szczebel profesorski (*assistant professor*) i zatrudnienie na czas określony (zwykle 3 lata), po którym przedłużeniem kontraktu (nadal na czas określony!) uzależnione jest od oceny kwalifikacji (dorobek naukowy, umiejętności dydaktyczne, zdolność pozyskiwania środków na pracę badawczą) kandydata. Dla porównania, warto się zastanowić jak często profesorowie nadzwyczajni, zatrudnieni na okres 5 lat, byli w polskich uczelniach naprawdę oceniani i w wyniku niskiej oceny zwalniani ze stanowiska.

Co najważniejsze jednak, w Stanach Zjednoczonych istnieje stały przepływ kadr z jednej uczelni na drugą; podobnie i w wielu krajach Europy wraz z przyrostem dorobku i wzrostem prestiżu naukowego uczony przechodzi na coraz to lepszą uczelnię, stwarzając szersze możliwości badawcze, i otrzymuje coraz to większą pensję. Na tym tle egzotycznie wyglądają warunki polskie, gdzie można przez całe życie pracować na jednej i tej samej uczelni, publikując część prac w jej wydawnictwach (najczęściej w zeszytach naukowych o nakładzie kilkuset egzemplarzy). Od magisterium aż do profesora tytularnego wszystkie stopnie opiniuje i zatwierdza ta sama rada wydziału. Niemal do reguły należy fakt, iż opiekun pracy magisterskiej staje się promotorem doktorskiej, a następnie „opiekunem” rozprawy habilitacyjnej, by wreszcie wystąpić w charakterze jednego z opiniodawców w przewodzie profesorskim. Niepokojące skutki tworzenia się w ten sposób zamkniętych i samoreprodukujących się środowisk są już dostrzegane, czego wyrazem jest pojawianie się propozycji przeprowadzania przewodu habilitacyjnego poza macierzystą radą wydziału.

Prawdą jest, że od habilitacji począwszy, na trzech recenzentów co najmniej dwóch musi pochodzić z innych uczelni, ale o „spolegliwych opiniodawców” naprawdę nie jest trudno. Działa jednak nadal, tak nie cierpiana przez sfrustrowaną część naukowców, Centralna Komisja, która powołuje własnego recenzenta. Jeśli ten wypowiada się negatywnie o danej pracy habilitacyjnej czy o zasadności awansu profesorskiego wówczas, w imię bezstronności oceny, jest powoływany drugi recenzent. Dopiero w oparciu o te dwie opinie przeprowadza się głosowanie w odpowiedniej sekcji Centralnej Komisji. A i wówczas istnieje możliwość odwołania się od tej decyzji, w tym również i do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Jak bardzo tego rodzaju „sito kwalifikacyjne” jest niezbędne, świadczy fakt wykrywania dopiero na szczeblu Centralnej Komisji plagiatów nie dostrzeżonych przez recenzentów, których powołała rada wydziału danej uczelni.

Nowa ustawa zapowiada koniec tej zaiste koszmarnej dla każdego o słabym dorobku kandydata „drogi przez mękę”. Odtąd wyłącznie rady wydziału, w porozumieniu z rektorem, będą orzekać, iż dorobek dra Kowalskiego jest tak wybitny i cenny, iż równoważy brak habilitacji. Notabene, ukuto zabawną teorię, jakoby konieczność pisania „prac na stopień” hamowała rozwój naukowy kandydata do awansu. Znaczy to ni mniej ni więcej, iż rozprawa habilitacyjna czy tak zwana książka profesorska nie ma nic wspólnego z pracą naukową. Każdy znający dotychczasową ustawę o stopniach i tytułach naukowych wie dobrze, jak trudnym do zrealizowania i wymierzenia kryterium jest uznanie czyjegoś dorobku za wybitny. Nowa jej wersja zakłada, iż rektorzy czy dziekani oraz podległe im rady nie będą miały z tym większych trudności. Ponieważ jednak natura ludzka jest ułomna, należy się obawiać,

iż uznanie czyjegoś dorobku za cenny będzie w znacznym stopniu zależało od tego, czy danej uczelni zależy na szybkim przyroście kadry profesorskiej. Cóż to zresztą za cenny dorobek, z którego nie udało się wydobyć pracy czy prac mogących stać się przedmiotem habilitacji? Przypomnijmy, iż obecnie obowiązująca ustawa przewiduje możliwość przeprowadzenia jej na podstawie serii publikacji o pokrewnej tematyce.

Z projektu ustawy wynika, iż profesorowie „nowego typu” nie będą mieli prawa prowadzenia prac doktorskich ani nawet ich recenzowania. Nie będą oni także wliczani do minimum umożliwiającego przyznawanie wydziałowi kolejnych uprawnień. Na cóż więc będzie przydatny sam tytuł: jako ozdobnik na wizytówce (a później klepsydrze) czy też, i to ostatnie wydaje się najpewniejsze, jako samochwalba uczelni, iż zatrudnia u siebie aż tylu profesorów. Mając tak bardzo ułatwione warunki autoreprodukcji, władze uczelni nie będą zabiegać o pozyskiwanie wybitnych badaczy z innych ośrodków, albowiem tworzyliby oni niebezpieczną konkurencję, dając ponadto własnym studentom możliwość niekorzystnych porównań rodzimych profesorów z przybyszami. Można śmiało przyjąć, iż znaczna część tak mianowanych profesorów, uzyskawszy pożądane stanowisko, nie będzie miała silnej motywacji i chęci do dalszego pomnażania dorobku naukowego, a tym bardziej do robienia „autentycznej habilitacji”. „Bardzo często po takim »awansie« profesor uczelniany osiada na laurach. Tylko dla niewielu awans jest stymulatorem rozwoju” – pisał przed paroma laty prof. Zygmunt Kołodziejak na łamach Forum Akademickiego (nr 7-8 z 1998 roku, w artykule polemicznym *Habilitacja – twór anachroniczny?*). Podobny efekt spowoduje zatrudnienie doktorów na stanowisku profesora co większość z nich pozbawi motywacji do pracy

badawczej, która mogłaby zostać uwieńczona zrobieniem habilitacji.

Jest publiczną tajemnicą fakt, iż poziom doktoratów uległ w ostatnich latach niepokojącemu obniżeniu. Wyłożonych prac w praktyce się nie czyta, a na obronę przychodzi najbliższa rodzina i przyjaciele, zapraszani później na przyjęcie. Znika zaś element prawdziwej, naukowej dyskusji, stanowiącej nieodłączny składnik kontroli. Na dobrą sprawę (wiemy, że to niemożliwe, ale pomarzyć wolno) przydałoby się powołanie osobnej Centralnej Komisji dla doktoratów, co skłoniłoby promotorów i autorów do podwyższenia wymagań. Zniesienie habilitacji może i ułatwi formalne awanse naukowe, ale na pewno obniży ich poziom. W tej dziedzinie jakże łatwo jest coś popsuć, jak to było widać na przykładzie „marcowych docentów” z 1968 roku. Skutki będą odczuwalne jednak dopiero po latach.

Z doświadczeń Centralnej Komisji – już 13-letnich – jasno wynika, że likwidacja stanowiska docenta spowodowała znaczne obniżenie wymagań stawianych kandydatom do tytułu profesora. Według pierwotnie sformułowanej opinii tytuł profesorski, jako jedyny, powinien być czymś pośrednim między poprzednimi tytułami profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego, ale raczej bliższym tego ostatniego. W rzeczywistości okazało się, że uzyskanie stanowiska profesora, a w powszechnej

praktyce posługiwanie się nim jak tytułem, pozbawiło dużą część doktorów habilitowanych motywacji do dalszej intensywnej pracy naukowej. Konsekwencją tego jest systematyczne obniżanie wymagań stawianych przez rady wydziałów kandydatom do tytułu profesora i są one na ogół niższe niż stawiane niegdyś przy tytule profesora nadzwyczajnego. Jednym z następstw „słabych” profesur, o czym już pisaliśmy, jest obniżający się poziom prac doktorskich, a w następstwie tego i rozpraw habilitacyjnych. Przywrócenie stanowiska docenta w wyższych uczelniach sprzyjałoby prawidłowemu promowaniu kadr naukowych na wszystkich szczeblach ich rozwoju. Stanowisko docenta przewiduje ustawa o Polskiej Akademii Nauk i Ustawa o jednostkach badawczo rozwojowych, w których stanowisko profesora może zajmować tylko osoba z tytułem profesora. Występują w tym względzie wyraźne rozbieżności między uczelniami i pozostałymi pionami nauki.

Ustawa winna zaś być układana w szerokiej perspektywie czasowej i organizacyjnej. Więc może należałoby z nią poczekać do uchwalenia całego pakietu „ustaw o nauce”, czego od dawna domagają się niektórzy członkowie Polskiej Akademii Nauk na walnych jej zgromadzeniach.